

**BUŁAT OKUDŻAWA**

**DZIEWCZYNA  
MOICH MARZEŃ**



FIKCJE I FAKTY 6/1987

Przypominam sobie, jak oczekiwałem na mamę w 1947 roku.

Przez dziesięć lat byliśmy rozłączeni. Rozstawała się z dwunastoletnim chłopczykiem, a czekał na nią dwudziestoletni młodzieniec, student uniwersytetu, który swoje już odwojował, swoje wypił, był ranny, chociaż, jak teraz sobie przypominam, może był nieco zbyt lekkomyślny, płytki. Jakby to nie było dziwne, emanowało ze mnie coś niesolidnego.

Przez dziesięć lat byliśmy rozłączeni. Cóż, określone wówczas warunki, powody tych bolesnych strat, długotrwałych rozstań - teraz wszystko to doskonale wiemy, teraz wszystko to dobrze rozumiemy, tłumaczymy, patrzymy na to jak na fakt historyczny, niekiedy nawet zapominając, że sami w tym wszystkim tkwiliśmy, że sami byliśmy uczestnikami tych wydarzeń, że samych nas to dotykało, a nawet zadawało ciosy i raniło.

Wtedy dziesięć lat to był dla mnie szmat czasu, nie to co dziś: lata lecą, coś tam cyka, jak w automacie, aż tu pod wieczór patrzysz, i znowu kilku zabrakło, jakby ich nigdy nie było, a wtedy ten czas oznaczał niemal całe życie i wydawał się wiecznością, i sądziłem, że skoro zdołałem tyle przeżyć i stać się dorosłym, to, moja mama, z pewnością jest już całkiem siwą, chudziutką staruszką... I ogarnął mnie strach...

A moja ówczesna sytuacja życiowa wyglądała tak. Wróciłem z frontu i wstąpiłem na uniwersytet w Tbilisi, mieszkałem na parterze, w pokoiku który zostawiła mi moja ciocia, przeprowadziwszy się do innego miasta. Studiowałem na wydziale filologii, pisałem epigońskie wiersze, żyłem tak, jak mógł żyć samotny student w powojennych latach: nie myśląc o przyszłości, bez pieniędzy, bez rozpacy. Zakochiwałem się, traciłem głowę i to pomagało mi zapomnieć o głodzie, i myślałem, pocieszając się: żyjesz, zdrowie ci dopisuje, czegoś chcieć więcej? Tylko swoją ponurą tajemnicę, gorzką tajemnicę mej rozłąki przechowywałem w głębi duszy, wspomnienie o mamie.

Pozostało mi kilka fotografii, na których była młoda, z wielkimi piwnymi oczami: gładko zaczesane włosy z kokiem z tyłu, ciemna sukienka z białym kołnierzykiem, poważna twarz, ale usta jakby lada moment miał rozjaśnić uśmiech. No i pozostały mi jeszcze w pamięci intonacje, charakterystyczny uśmiech, jakieś umykające z pamięci czułe słówka, przeróżne drobiazgi. Kochałem ten coraz bardziej zamglony obraz, cierpiałem z powodu rozłąki, ale stanowił on dla mnie nie więcej niż symbol, miły i nieuchwytny, wzniosły i niekonkretny.

Przez ścianę z moim pokojem mieszkał sąsiad Meładze, starszy, o cięższych, z odstającymi uszami, z których wyłaziły siwe włosy, niechlujny, posepny, nierozmowny, zwłaszcza ze mną, jakby się bał, że go poproszę o pożyczkę. Z pracy wracał nie wiadomo jak, nikt nie widział go wchodzącego drzwiami. Dziś zdaje mi się, że wlatywał lufcikiem i wylatywał przez niego wraz ze swoją zniszczoną brązową teczką. Kim był, co robił, dziś już nie pamiętam, ale i wtedy, zapewne, też nie wiedziałem. Przesiadywał w swoim pokoju, niemal nie wychodząc. Co tam robił?

Byliśmy samotni - i on, i ja.

Myślę, że mieszkając po sąsiedzku ze mną nie miał zbyt słodkiego życia. Wpadała do mnie od czasu do czasu kompania takich jak ja, głodnych, zabieganych, podnieconych, przychodziły też dziewczyny i piekliśmy na patelni suche placki z kukurydzianej mąki, odkorkowaliśmy butelki kiepskiego wina, i poprzez ciekłą ścianę docierały do Meładzego wrzaski i śmiech, i brzęk szklanek, szepty i pocałunki, i on, widać to było wyraźnie, z odrazą znosił naszą hałaśliwą zabawę i gardził mną.

Wtedy nie potrafiłem jeszcze ocenić ogromu jego cierpliwości i niezwykłą szlachetność - nawet słowo wyrzutu nie wyrwało mu się nigdy z ust. Po prostu mnie nie zauważał, nie rozmawiał ze mną i, jeśli zdarzało się, że po sąsiedzku prosiłem go o sól albo zapałki, albo igłę z nitką, nigdy mi nie odmawiał, ale, podając je milczał i odwracał wzrok.

Tego pamiętnego dnia wróciłem do domu późno. Nie pamiętam już nawet gdzie się włóczyłem. Cekał na mnie w kuchni-przedpokoju i podał mi złożoną kartkę papieru.

- Telegram - powiedział szeptem.

Telegram był z Karagandy. Sparzył mi ręce. „Przyjeżdżam pięćset pierwszym całuję mama”. Meladze dreptał tuż, tuż, sapał i obserwował mnie. Ni z tego, ni z owego zapaliłem naftową kuchenkę, potem ją zgasiłem i postawiłem czajnik. Później zacząłem zamiatać wokół swego kuchennego stołka ale nie dokończyłem i zabrałem się do odskrobywania ceraty...

Stało się więc to najbardziej nieprawdopodobne i to jak nagle! Dobrze znany symbol nabrał czytelnych rysów. To, o czym beznadziejnie marzyłem, co opłakiwałem ukradkiem po nocach w samotności, stało się niemal namacalne...

- Karaganda? - wyszeptał Meladze.

- Tak - odpowiedziałem przejęty.

Pocmokał ze smutkiem językiem i głośno westchnął.

- Jakiś pięćset pierwszy pociąg - powiedziałem - pewnie jakaś pomyłka. Czy pociągi miewają w ogóle takie numery?

- Nie - szepnął - to nie pomyłka. Pięset persi to znaczy, pięset wesoły.

- Dlaczego wesoły? - nie zrozumiałem.

- Towarowi wagony, kaco. Długo jedzie - wszystkim wesoło - i znowu pocmokał.

Nocą nie mogłem zasnąć. Meladze pokasływał za ścianą. Rankiem udałem się na dworzec.

Okropna myśl, że nie poznam mamy, prześladowała mnie, gdy w pośpiechu pokonywałem Warijski stok i pędziłem dalej ulicą Jauresa w stronę dworca, i próbowałem oczyma wyobraźni zobaczyć siebie pośród wagonów i tłumu, i tam, gdzie ścisk był największy, migała mi siwa staruszka, i rzucaliśmy się ku sobie. Potem jechaliśmy do domu tramwajem numer dziesięć, jedliśmy kolację i widziałem, wyraźnie, jaką przyjemność sprawiają jej cywilizacja i spokój, i nowe czasy, i nowe okolice, i wszystko, co będę jej opowiadał, i wszystko, co jej pokażę, o czym zapomniała, zdążyła zapomnieć, od czego odwykła, płacząc nad moimi z rzadka przychodzącymi listami...

Pociąg z dziwnym numerem rzeczywiście istniał. Jechał poza rozkładem i dokładny czas jego przyjazdu pozostawał tajemnicą nawet dla dyżurnych ruchu. Niemniej jednak spodziewali się go i mieli nadzieję, że przed wieczorem przybędzie do Tbilisi. Wróciłem do domu. Myłem podłogi, wyprałem jedyny swój obrus i jedyny swój ręcznik, a sam ciągle próbowałem sobie wyobrazić tę chwilę, to znaczy nasze spotkanie z mamą i czy zdołam od razu ją poznać - taką jak wygląda dziś, postarzałą, przygarbioną, siwą, a jeżeli nie poznam, no, nie poznam i przebiegnę koło niej, i będzie mnie wypatrywać w dworcowym tłumie i martwić się, albo zorientuje się po moich oczach, że jej nie poznałem, i jak to wszystko rozjątrzy jej ranę...

Przed czwartą znowu byłem na dworcu, ale „pięćset wesoły” przepadł gdzieś po drodze. Teraz spodziewano się go o północy. Wróciłem do domu, żeby trochę ochłonać, wziąłem się za prasowanie obrusa i ręcznika, zamiotłem pokój, wytrzepałem dywanik, znowu zamiotłem... Za oknami był maj. I jeszcze raz poleciałem na dworzec, tramwaj numer dziesięć, w otoczeniu cudzych matek i ich synów nie podejrzewających nawet jakie szczęście mnie dziś spotkało, i jeszcze raz - rozpierany nadzieją, że będę wracać już nie sam, obejmując chudziutkie ramiona... Wiedziałem, że gdy wjedzie na peron ten nie kończący się skład, będę musiał nie raz przebiec wzdłuż pociągu, i w tysięcznym tłumie odnaleźć swoją mamę, rozpoznać ją i objąć, i przytulić się do niej, poznać ją między tysiącami innych pasażerów i oczekujących, maleńką, siwiutką, kruchą, wycieńczoną...

I wreszcie ją spotkam. Zjemy w domu kolację. We dwoje. Ona będzie opowiadać o swoim życiu, a ja o swoim. Nie będziemy wnikać w szczegóły, szukać przyczyn i tych, którzy zawinili. Trudno, stało się, było, minęło, a teraz znowu jesteśmy razem...

...A potem zabiorę ją do kina, i niech tam odpocznie, odzyska spokój ducha. Nawet film wybrałem. To znaczy nie tyle wybrałem, co był taki jeden-jedyny w Tbilisi, z powodu które-

go wszyscy zwariowali, zdobywczy film „Dziewczyna moich marzeń” z wstrząsającą, zniwelającą Mariką Röck w głównej roli. Normalne życie w mieście zamarło - wszyscy mówili o filmie, biegali nań w każdej wolnej chwili, na ulicach gwizdano melodie z tego filmu, a z otwartych na oścież okien dobiegały dźwięki fortepianu ciągle z tymi samymi melodiami, które oczarowały tbiliszczaków. Film był kolorowy, z tańcami i śpiewem, z perypetiami miłosnymi, komicznymi sytuacjami. Żywy, radosny show, porażający wyobraźnię widzów w trudnych powojennych latach. Ja sam zdołałem być na nim około piętnastu razy i skrycie kochałem się w cudownej, olśniewającej, uśmiechniętej Marice, i, chociaż znałem ten film na pamięć, zawsze reagowałem tak jakbym oglądał go po raz pierwszy i przeżywałem losy głównych bohaterów. I nie przypadkiem myślałem wtedy, że dzięki temu filmowi moja mama mogłaby powrócić do życia. Zobaczy to wszystko, myślałem, i przynajmniej na jakiś czas oderwie się od swoich smutnych myśli i nacieszy się oglądając rzeczy piękne, i nasyci się pokojem, spokojem, szczęściem, muzyką i wszystko to pozwoli jej wrócić do życia, do miłości i do mnie... A bohaterka? Młoda kobieta, roztaczająca wokół siebie szczęście. Natura szczerze obdarzyła ją jędrnym i zdrowym ciałem, złocistą skórą, długimi, nieskazitelnie zgrabnymi nogami i czarującym biustem. Spoglądała swymi ogromnymi, niebieskimi, świecącymi się oczami, w których z rozkoszą tonęli zmysłowi tbiliszczacy, i uśmiechała się, demonstrując cudowne usta, i tańczyła otoczona silnymi, gorącymi, wesołymi chłopcami jak malowanie. Towarzyszyła mi wszędzie a nawet siadała na mojej stareńkiej pryczy, założywszy nogę na nogę, wpatrując się we mnie swymi niebieskimi oczami, roztaczając wokół tajemniczy zapach i austriackie zdrowie. A mnie, oczywiście, nawet do głowy nie przyszło, żeby upokarzać ją swymi prymitywnymi warunkami życiowymi czy powojennymi kłopotami, czy też aluzjami do gorzkiego karagandyjskiego bezludzia mamy. Dzięki temu właśnie była taka piękna, że nawet nie podejrzewała istnienia tych przeludnionych miejsc, tak kontrastujących z jej pięknym, modrym Dunajem, nad brzegami którego tańczyła w błogiej nieświadomości. Niesprawiedliwość i gorycz jej nie dotyczyły. Niech tam my... nam... ale nie ona, nie jej. Chroniłem ją, jak drogocenny kamień i od czasu do czasu wyciągałem ze skrytki, żeby się nacieszyć, wlepiając wzrok w ekrany kin, przesiąkniętych zapachem karbolu.

Na przydworcowym placu panował ogłuszający zgiełk. Cała przestrzeń przed dworcem była wypełniona różnorodnym tłumem. Walizki i tłumoki piętrzyły się na asfalcie, śmiech i płacz, i krzyki, i wymysły... Zrozumiałem, że spóźniłem się, ale, pewnie niewiele, i była jeszcze nadzieja... Zapytałem siedzących na bagażach ludzi, czy aby nie przyjechali pięćset pierwszym. Ale okazało się, że są z Batumi. Kamień spadł mi z serca. Przecisnąłem się przez zwarty tłum do informacji i krzyknąłem o „pięćset przeklętym”, ale ta, w okienku, udręczona i ogłuszona, długo nic nie rozumiała, odpowiadając kilku osobom naraz, a kiedy wreszcie dotarło do niej, odkrzyknęła mi z wściekłością, aż czerwone plamy wystąpiły na jej twarzy, że pięćset pierwszy przyjechał przed godziną, dawno przyjechał ten znikowany pociąg, nikogo już nie ma, wszyscy godzinę temu wyszli, i już od dawna nikogo nie ma...

Na przydworcowym placu, przypominającym niedzielne targowisko, na stosie walizek i tobołków siedziała przygarbiona staruszka i bezradnie rozglądała się na wszystkie strony. Ruszyłem w jej kierunku. Wydawało mi się, że dostrzegam w rysach jej twarzy coś znajomego. Powoli, krok za krokiem stawiałem zeszytniałe nogi. Spostrzegła mnie, obejrzała podejrzliwie i malutką rączkę oparła na najbliższym tobołku.

Poszedłem piechotą do domu mając nadzieję dogonić mamę po drodze. Ale doszedłem pod same drzwi, a jej nie spotkałem. W pokoju było pusto i cicho. Za ścianą zakasła! Meladze. Trzeba było znowu lecieć w stronę dworca, więc wyszedłem i na pierwszym rogu zobaczyłem mamę!... Powoli podchodziła do domu. W ręku miała skrzyneczkę z dykty. Nie zmieniła się, była wysoka i zgrabna, taką zapamiętałem, w szarej perkalowej sukieneczynie, pogniecionej i niezgrabnej. Silna, opalona, młoda. Pamiętam, jaki byłem szczęśliwy, że widzę ją właśnie taką, a nie przygarbioną i starą.

Zapadał wczesny zmierzch. Obejmowała mnie, ocierała się policzkiem o mój policzek. Skrzyneczka stała na trotuarze. Przechodnie nie zwracali na nas uwagi: w Tbilisi, gdzie wszyscy całują się przy powitaniach wiele razy dziennie, w naszych uściskach nie było niczego nadzwyczajnego.

- Więc taki jesteś! - mruczała - Taki jesteś, mój chłopczyk, mój maleńki - i to było jak dawniej, jak kiedyś...

Powoli ruszyliśmy w kierunku domu. Objąłem ją za ramiona i miałem ochotę zapytać, tak zwyczajnie, jak zawsze pyta się dopiero co przybyłych: „No, co tam u ciebie? Jak ci tam było?...” - ale zorientowałem się i przemilczałem.

Weszliśmy do domu. Do pokoju. Posadziłem ją na stareńkim tapczanie. Za ścianą zakasał Meładze. Posadziłem ją i zajrzałem w oczy. Te wielkie, piwne, migdałowe oczy były teraz tuż przede mną. Zajrzałem w nie... Przygotowując się do tego spotkania, sądziłem, że będzie sporo łez i rozgoryczenia, przygotowałem więc takie zdanie, żeby ją pocieszyć: „Mamusi, widzisz przecież, jestem zdrow, wszystko u mnie w porządku, i ty jesteś zdrowa, i piękna jak dawniej, i teraz wszystko już będzie w porządku, wróciłaś, i znowu jesteśmy razem...” Powtarzałem sobie te słowa wielokrotnie, przygotowując się na pierwsze uściski, na pierwsze łzy, na to wszystko co może się zdarzyć po dziesięciu latach rozłąki... I oto zajrzałem w jej oczy... Były suche i obojętnie patrzyła na mnie, ale nie widziała, twarz zastygła, skamieniała, usta rozchyliła z lekka, silne, opalone dłonie bezwolnie leżały na kolanach. Nic nie mówiła, tylko z rzadka potakiwała mojej pocieszającej paplaninie, pustemu rozwodzeniu się o czymkolwiek, byle tylko nie o tym, co było wypisane na jej twarzy... Już lepiej żeby płakała, pomyślałem. Zapaliła taniego papierosa. Przesunęła dłonią po mojej głowie...

- Zaraz coś zjemy - powiedziałem wyraźnie - Chcesz jeść?

- Co? - spytała.

- Jeść chcesz? Przecież jesteś prosto z podróży.

- Ja? - nie zrozumiała.

- Ty - roześmiałem się - oczywiście, że ty...

- Tak - odrzekła z pokorą - a ty? - i, zdaje się, że nawet się uśmiechnęła, ale nadal siedziała w tej samej pozie - ręce na kolanach...

Wyskoczyłem do kuchni, zapaliłem naftową kuchenkę, zagniotłem resztki kukurydzianej mąki. Pokroiłem niewielki kawałek imeretyńskiego sera, cudem ocalałego wśród moich nędznych zapasów. Porozkładałem to wszystko na stole przed mamą, żeby się ucieszyła, ocknęła; proszę, jakiego ma syna, i jaki on ma dom, i jak zgrabnie sobie ze wszystkim radzi, i że jesteśmy silniejsi od okoliczności, my je właśnie tak przewyciężamy męstwem i miłością. Skakałem przed nią, ale pozostawała nieobecna i tylko paliła papierosa za papierosem... Zagotowała się woda w czajniku i umieściłem go na stole. Pierwszy raz radziłem sobie tak zręcznie, tak szybko, tak sprawnie z naczyniami, z kuchenką, ze skromnym jedzeniem - niech zobaczy, że ze mną nie zginie. Życie toczy się dalej, toczy się dalej... Oczywiście, po tym wszystkim co przeszła z dala od domu, ode mnie... od razu przecież wszystkiego się nie odbuduje, ale powoli, cierpliwie...

Kiedy zdejmowałem z ognia placki, skrzypnęły drzwi, za moimi plecami sapał Meładze. W wyciągniętych dłoniach trzymał miskę z łobio.

- Co też pan - powiedziałem - mamy wszystko...

- Weź, kaco - namawiał posępnie - ja wiem...

Wziąłem od niego miskę, ale nie odchodził.

- Chodźmy - powiedziałem - przedstawię pana mojej mamie - i otworzyłem szeroko drzwi.

Mama siedziała bez ruchu, położywszy ręce na kolanach. Myślałem, że na widok gościa wstanie i uśmiechnie się, jak to jest przyjęte: bardzo mi miło, bardzo mi miło i przedstawi się, ale tylko w milczeniu wyciągnęła opaloną dłoń i znowu opuściła ją na kolano.

- Niech pan siada - powiedziałem i przystawiłem mu krzesło.

Usiadł naprzeciwko. I także oparł ręce na swoich kolanach. Mrok gęstniał. Na tle okna przypominali nieruchome posągi, zastygłe w identycznych pozach, i profile ich wydały mi się podobne.

O czym rozmawiali i czy w ogóle rozmawiali, póki biegałem do kuchni, nie wiem. Z pokoju nie dochodził najmniejszy szmer. Kiedy wróciłem, spostrzegłem, że ręce mamy nie spoczywały już na kolanach i cała wychylona była nieco do przodu, jakby wsłuchana.

- Bytyk? - rozległ się w ciszy głos Meładzego.

Mama spojrzała na mnie, potem powiedziała:

- Żaryk... - i uśmiechnęła się smutno.

Póki kursowałem z kuchni do pokoju i z powrotem, dalej wymieniali między sobą krótkie, niezrozumiałe słowa, a do tego niemal szeptem, ledwie poruszając ustami. Meładze cmokał i kiwał głową. Przypomniałem sobie, że Żaryk to stacja obok której przebywała mama, skąd niekiedy docierały do mnie jej listy, z których dowiadywałem się; że jest zdrowa, w dobrej formie i że u niej wszystko w porządku, tylko ucz się, ucz się dobrze, bardzo cię proszę, syneczku... i tam też wysyłałem wiadomości o sobie, że jestem zdrow i w dobrej formie, u mnie wszystko w porządku, i pracuję nad artykułem o Puszkynie, wszyscy mnie chwala, nie martw się o mnie, jestem pewien, że wszystko, koniec końców, ułoży się i spotkamy się...

I oto spotkaliśmy się, i zaraz zapyta mnie o artykuł i o inne nieodpowiedzialne bujdy...

Meładze nie chciał herbaty i zniknął. Mama po raz pierwszy spojrzała na mnie świadomie.

- A on co? - zapytałem szeptem - też tam był?

- Kto? - spytała.

- No kto, kto... Meładze...

- Meładze? - zdziwiła się i popatrzyła w okno. - Kto to jest Meładze?

- No, jak to kto? - nie wytrzymałem. - Mamo, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Meładze ... mój sąsiad, którego ci właśnie przedstawiłem. On też był... tam?

- Ciszej, ciszej - zmarszczyła brwi. - Nie trzeba o tym, synku...

O, Meładze, sapiący i drepący w samotności, i ty przecież byłeś kiedyś smukły, jak dereniowa gałąź, i twoją młodzieńczą twarz o namiętnych ustach i zabójczym wąsiku opromieniały miliony marzeń. Usta wyblakły, wąsy znikły, natchnione policzki zapadły się. Śmiałem się z ciebie i ukradkiem pokazywałem swoim przyjaciółom: spójrzcie dzieci, jak nie będziecie jeść kaszki manny, będziecie wyglądać jak ten wujek... I my, póki co jeszcze z obrzmiałymi wargami i bystrym wzrokiem, nie mogliśmy się nadziwić, jak niezdarnie drepcesz, jak czujnie wysuwasz się zza drzwi... Czegoś się bał, Meładze?

Piliśmy herbatę. Chciałem zapytać, jak jej się tam żyło, ale nie miałem odwagi. I zacząłem pośpiesznie łąć coś o własnym życiu. Jakby słuchała, potakiwała, jej twarz udawała zainteresowanie i uśmiechała się, i przeżuwała powoli, przesunęła ręką po gorącym czajniku, spojrzała na przybrudzoną dłoń...

- To głupstwo - zacząłem ją pocieszać - wyszoruję czajnik, to drobiazg.

- Biedny mój synek - rzuciła przed siebie i nagle rozplakała się. Uspokajałem ją, pocieszałem: wielka rzecz, czajnik. Otarła łzy, odsunęła pustą filiżankę, uśmiechnęła się zmieszana. - Dobrze już, dobrze - powiedziała - nie zwracaj uwagi - i zapaliła papierosa.

Meładze zakasłał za ścianą.

To nic, pomyślałem sobie, wszystko się ułoży. Dopijemy herbatę i zaprowadzę ją do kina. Jeszcze nie zdaje sobie sprawy, co wkrótce zobaczy. Nagle, po wszystkim co było, modre fale, muzyka, radość, słońce i Marika Rökk, pomyślałem, zmrużywszy oczy, i to po tym wszystkim, co było. Weź to najpiękniejsze, najbardziej cenne co posiadam, daruję ci to,

pomyślałem sobie i z trudem łapiąc oddech pod wrażeniem własnej szczodrobliwości...

I w tym momencie powiedziałem:

- Wiesz, mam dla ciebie niespodziankę, ale w tym celu musimy wyjść z domu i trochę się przejść...

- Wyjść z domu? - skrzywiła się.

- Nie bój się - roześmiałem się. - Niczego się już nie bój. Zobaczysz coś cudownego, daję ci słowo! Takie чудо, że można to wypisać zamiast lekarstwa.. Słyszysz co mówię? Chodźmy, chodźmy, bardzo cię proszę...

Pokornie wstała.

Szliśmy po wieczornym Tbilisi. Znowu poczułem ochotę, żeby zapytać, jak tam żyła, ale nie zapytałem; tak dobrze wszystko się składało, taki był łagodny, miodowy wieczór, i byłem szczęśliwy, że idę z nią razem i trzymam ją pod rękę. Była zgrabna i ładna, moja mama, nawet w tej szarej, pomiętej, takiej nietutejszej sukience, a nawet w zdeptanych, nieokreślonego kształtu sandałach. Wprost stamtąd, pomyślałem, tutaj, w to przyjemne ciepło, w to przebijające się przez liście platanów światło, w gwarny, szczęśliwy tłum... I jeszcze pomyślałem, że, oczywiście, należało zmusić ją, żeby się przebrała, jakoś ją upiększyć, bo, no po prostu, bo jest w tym samym, w czym chodziła tam... Czas już zapominać...

Prowadziłem ją prospektem Rustawellego, a ona pokornie szła ze mną, nie pytając o nic. Kiedy kupowałem bilety, stała nieruchomo pod ścianą, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Pomachałem do niej od kasy - i chyba, uśmiechnęła się.

Siedzieliśmy w dużej sali i powiedziałem do niej:

- Zaraz zobaczysz чудо, to jest tak piękne, że nie da się opisać słowami... Słuchaj, tam coś wam pokazywali?

- Co? - spytała.

- No, jakieś filmy... - i zrozumiałem, że mówię głupstwa. - Przynajmniej czasami.

- Nam? - zapytała i roześmiała się cichutko.

- Mamo - wyszeptalem z rozdrażnieniem - co się z tobą dzieje? No - zapytałem po prostu - ... tam, gdzie byłaś...

- No, oczywiście - odparła obojętnie.

- Cieszę się, że znowu jesteście razem - stwierdziłem jak doświadczony rozjemca, czując już przedsmak czekającej nas rozkoszy.

- Tak, tak - szepnęła coś do własnych myśli.

Patrzyłem to na ekran, to na mamę, dzieliłem się z mamą swoim bogactwem, obdarzałem ją tym co miałem najlepszego, sala była zachwycona i rozchichotana, jęczała, klaskała, podśpiewywała piosenki... Moja mama siedziała, opuściwszy głowę.

-Cudowne, prawda? - szepnąłem. - Popatrz, popatrz, teraz będzie najciekawsze... No, spójrz mamo!...

Zresztą, któryż to już raz odczułem ogromny niepokój, gdy przemknęła mi przez głowę nieprawdopodobna myśl, że nie sposób pogodzić tamtych mamy warunków z tym olśniewającym austriackim karnawalem nad brzegami pięknego modrego Dunaju.

Mama usłyszała mój okrzyk, podniosła głowę, niczego nie zobaczyła i zmarkotniałem znowu. Przepiękna, obnażona Marika siedziała w beczce wypełnionej mydlaną pianą. Myła się jak gdyby nigdy nic. Widownia była pełna uwielbienia i wyła z zachwytu. Ja rechotałem i z nadzieją zaglądałem w oczy mamie. Spróbowała nawet uprzejmie uśmiechnąć się w odpowiedzi, ale nic jej z tego nie wyszło.

- Wyjdźmy stąd - szepnęła nagle.

- Teraz przecież jest najciekawsze - odparłem z irytacją.

- Bardzo cię proszę, wyjdźmy...

Wolno zmierzaliśmy w kierunku domu. Milczeliśmy. Nie pytała o nic.

Po przepięknych, kolorowych strojach Mariki sukienka mamy wydawała się jeszcze

bardziej szara i nędzna.

- Jesteś taka opalona - powiedziałem - taka śliczna. Byłem pewien, że zobaczę starszkę, a taka jesteś ładna...

- No, proszę - powiedziała bez zainteresowania i pogłaskała mnie po ręce.

W pokoju ulokowała się na tym samym krześle. Siedziała ze wzrokiem utkwionym przed siebie, z dłońmi na kolanach, póki gorączkowo przygotowywałem nocleg. Sobie - na pryczy, jej - na jedynym łóżku. Próbowła się sprzeciwić, chciała, żebym ja spał na łóżku, ponieważ lubi na pryczy, tak, tak, nie, nie, bardzo cię proszę, powinienesz mnie słuchać (spróbowała nadać swemu głosowi ton żartobliwy), jestem twoją mamą... masz mnie słuchać... jestem mama... i po chwili, rzuciła w przestrzeń: ma-ma... ma-ma... jestem ma-ma...

Wyszedłem do kuchni. Meładze, wbrew swym zwyczajom siedział na stołeczku. Spojrzał na mnie pytająco.

- Zaprowadziłem ją do kina - poskarżyłem się szeptem - a ona w połowie wyszła.

- Do kina? - zdumiał się. - Jakie kino, kaco? Ona musi odpocząć...

- Zupełnie się zmieniła - powiedziałem. - Może ja czegoś nie rozumiem... Kiedy o coś pytam, powtarza pytanie, jakby nie dosłyszała.

Pocmokał językiem.

- Kiedy człowiek nie chce mówić rzeczy niepotrzebnych - odparł szeptem - mówi wolno, długo, on myśli, rozumiesz? My-śli... Potrzebuje czasu... Ma teraz taki nawyk...

- Boi się powiedzieć coś niepotrzebnego, mnie? - spytałem.

Rozgniewał się.

- Ne tobie, ne tobie, genacwale... Tam - podniósł do góry wskazujący palec - tam тебе ne bilo, tam inni pitali - po co, dlaczego, rozumiesz?

- Rozumiem - powiedziałem.

Liczę na jutrzejszy dzień. Jutro wszystko będzie inaczej. Musi zrzucić z siebie brzemię przeszłości... Prawda, mamusiu? Wszystko pójdzie w niepamięć, wszystko, wszystko... Znowu wybierzemy się nad brzeg błękitnego Dunaju, włączymy się w tłum, niczym się nie wyróżniając, rozkoszując się pięknem, młodością, muzyką...

- Kup jej owoce... - powiedział Meładze.

- Jakie owoce - nie zrozumiałem.

- Kup czereśnia, czereśnia...

...A tymczasem w swojej szarej sukience, nawet się nie przykrywszy, zwinęta w kłębek, mama ułożyła się na pryczy. Spojrzała na mnie, gdy wszedłem, i uśmiechając się z lekka, tak jak dawniej, zwyczajnie, wieczornie.

- Mamo - powiedziałem z wyrzutem - na pryczy będę spał ja.

- Nie, nie - odparła z dziecinnym uporem i roześmiała się...

- Lubisz czereśnie? - spytałem.

- Co? - nie zrozumiała.

- Czereśnie lubisz? Czy lubisz czereśnie?

- Ja? - spytała.

*Przełożył PIOTR HALBERSZTAT*